NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 148·20 Marek, Półrocznie 296·40 Mk. Rocznie 592·80 Mrk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 3 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 4·—, za wiersz nonpareilowy, jednoszpaltowy 6 Mp., za wiersz petitowy w części redakcyjnej 15 Mp.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny). Telefon Nr. [illegible]

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: Julian Bartoszewicz.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. „Promień", Łódz, Piotrkowska 81.

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 12 Marek.

Rok XVIII. Kraków, 15. stycznia 1921. Nr 3.

Tragiczna śmierć dwojga kochanków



Ferdynand Laska po zamordowaniu Chwałkówny pozbawia się życia wystrzałem z rewolweru.

Tragiczna śmierć dwojga kochanków.

(Do illustracyi tytułowej).

Kraków przybiera coraz bardziej cechy wielkiego miasta, niestety, przeważnie w ujemnem tego słowa pojęciu. Samobójstwa, morderstwa, napady rabunkowe mnożą się z dniem każdym, a opinia publiczna przyjmuje je dość obojętnie do wiadomości, zapisując na konto nienormalnych stosunków, wywołanych wojną i przechodzi nad nimi bardzo rychło do porządku dziennego.

Jeszcze nie przebrzmiały echa zamachu morderczego Chmury za Pietrasową, a oto znów notują kroniki policyjne nowy wypadek morderstwa i samobójstwa, o podkładzie podobnym do poprzedniego, erotycznym. I tu i tam kochanka chciała się uwolnić od dotychczasowego swego przyjaciela, który, albo jej się już sprzykrzył, albo też zajmował miejsce innemu, już upatrzonemu i ta jej niechęć podała mu broń do ręki.

W obecnym wypadku tajemnicę tragicznego zajścia zabrali kochankowie ze sobą do grobu, wywiady przecież i kartki pozostawione przez mordercę i samobójcę: „Niech żyje miłość!... Precz z wrogiem!... Ferdek“ każą przypuszczać, że wchodzi tu w grę zapewne i „ten trzeci“, który w sercu Chwałkówny zajął miejsce Laski.

Mieszkali obydwoje w skromnem, ale bardzo gustownie umeblowanem mieszkaniu, w suterenach domu przy ulicy Powiśle 12. Ona dwudziesto ośmioletnia przystojna i zawsze elegancko ubrana, o zajęciu nieokreślonem, typ wielkomiejskiego rodzaju kobiet, których szeregi tak się wzmogły dzięki wojnie. On, „ptak niebieski“, co to „ani sieje, ani orze“, a przecież nigdy niczego mu nie brak. O jego „zawodzie“ świadczyć może wytrych, którym pewnego razu posługiwał się, gdy go Chwałkówna nie chciała wpuścić do mieszkania, lub też częste odwiedziny policyi, nie mającej widocznie namacalnych dowodów, aby ptaszka zamknąć w klatce i gołosłowne oskarżenia Chwałkówny, z racyi tych odwiedzin: „Zabierzcie sobie tego bandytę!...“ nie były wystarczające. Wogóle, jak stwierdzają domownicy, stosunek między Chwałkówną a Laską był zwłaszcza w ostatnich czasach bardzo naprężony. Zbyt widocznie dawała dowody swej ku niemu niechęci i tutaj niezawodnie, że należy szukać powodu tak tragicznego epilogu.

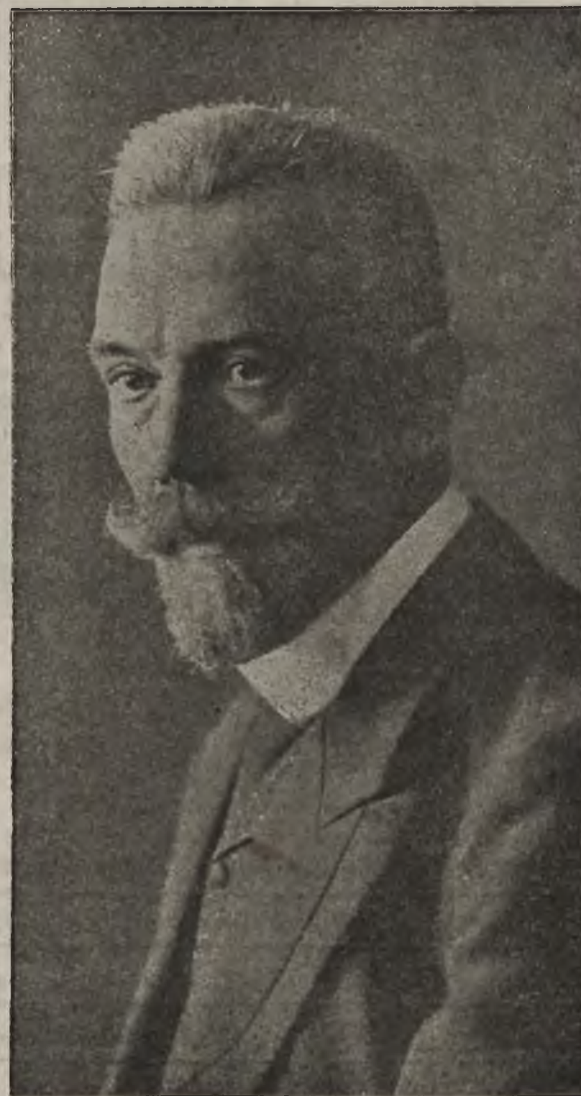
Że czyn ten był z góry przez Laskę uplanowany, świadczy fakt, że na stoliku ustawił przedtem ubraną kwiatami fotografię Chwałkówny, poniżej swoją, oraz kartkę, o której wyżej wspomniano. Czy Chwałkówna zgodziła się na wspólną śmierć wraz z kochankiem, to bardzo wątpliwe, pewniejszem jest, że się czegoś podobnego zupełnie nie spodziewała.

Krytycznej nocy obudziły mieszkańców domu przy ulicy Powiśle 12 tajemnicze strzały, ale ich zbyt nie zainteresowały. Rano dopiero dowiedziano się o zajściu i zawiadomione policyę, która przybywszy na miejsce, zastała dwa zastygłe już trupy, Chwałkówny, która miała na sobie jeszcze kapelusz i woalkę, z dwiema ranami postrzałowemi, na twarzy i szyi, oraz Laski, z postrzałem w okolicy prawego ucha.

Ta lokalizacya ran postrzałowych każe nam również wnosić, że po wejściu do mieszkania oddał Laska do Chwałkówny śmiertelne strzały, a następnie targnął się na swe życie.

W portfelu denata znalazła policya cały szereg fotografii rozmaitych „piękności“ z półświatka, widocznie miał on w tych sferach liczne znajomości, dzięki swej urodzie i funduszom, których mu nigdy nie brakło, choć nikt nie wiedział skąd je czerpie.

Ferdynand Laska i Marya Chwałkówna, to przedstawiciele mętów społecznych, dotąd u nas mało znanych, po wojnie mnożących się z nadzwyczajną szybkością.



Zgon jednego z winnych wybuchu wojny światowej: Były kanclerz Rzeszy niemieckiej. Bethmann-Hollweg.

Zgon jednego z winnych wybuchu wojny światowej.

Telegramy Biura Wolffa przyniosły w pierwszych dniach stycznia lakoniczną wiadomość z Berlina, że zmarł tam były kanclerz Rzeszy, Bethman-Hollweg. Do krótkiej z tego powodu notatki dodały pisma codzienne wyjaśnienie, że Bethman Hollweg musiał na żądanie Wszechniemców ustąpić swojego czasu z zajmowanego stanowiska z powodu swych „pokojowych dążeń“, że cofnął się w zacisze życia domowego i poświęcił głównie badaniom filozoficznym.

Otóż, o ile rozchodzi się o słuszność, a tę każdemu oddać należy, musi się stwierdzić, że były kanclerz Rzeszy, specyalnie zaś polityka przez niego prowadzona, była głównym powodem wybuchu wojny, która świat tyle ofiar kosztowała, ale zniweczyła równocześnie, wbrew spodziewaniu, nadziejo niemieckie o panowaniu nad całym światem.

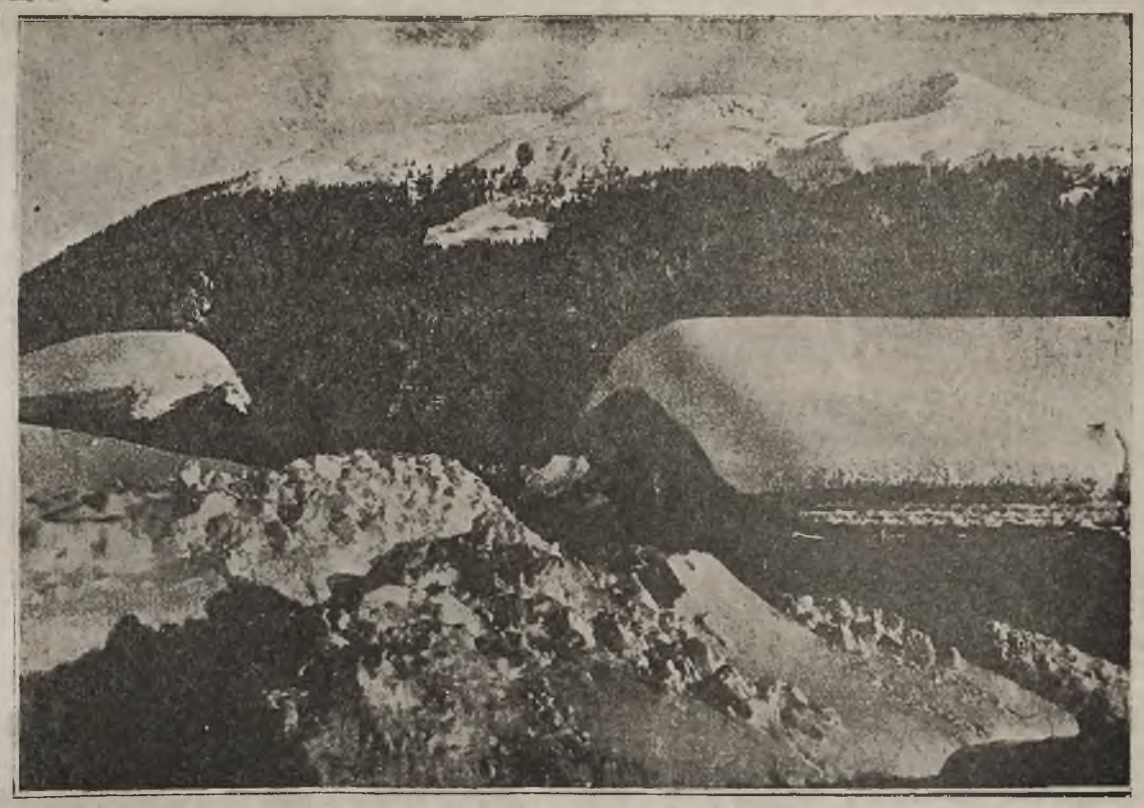
Aż do chwili, gdy orężowi Wilhelma powodziło się dobrze i Bethman-Hollweg hołdował zaborczej, bezwzględnej polityce pruskiej soldateski, mającej przedstawicieli zwłaszcza w najbliższem otoczeniu



Pożegnanie zasłużonego urzędnika: Radca Namiestnictwa Czesław Żułkiewicz w otoczeniu urzędników żywiackiego Starostwa. (Fot. R. Homa, Żywiec).

cesarza i w sztabie jeneralnym. Tem się chyba różnił od nich, że nie był tak jak oni krótkowzroczny i wcześniej dostrzegł grożące Niemcom niebezpieczeństwo, którego oni dotąd zdają się nie uznawać. I od tej właśnie chwili datują się jego pokojowe tendencye, tak się Wszechniemcom nie podobające, konflikt jego z sferami wojskowemi i w rezultacie dymisya. Jeśli jednak Bethman-Hollweg był w samej rzeczy tak pokojowo usposobiony, jak pisma polityczne zaznaczają, jako kierownik polityki zagranicznej Rzeszy nie powinien był wogóle dopuścić do wybuchu wojny, gdy tymczasem, jak stwierdzono publicznie, popierał imperyalistyczną politykę swego władcy, która stała się grobem znaczenia Niemiec i to właśnie w chwili, gdy one zdawały się być u szczytu swej potęgi.

Byłoby zatem korzystniejszem dla całego świata i dla Niemiec, gdyby były kanclerz jeszcze przed wybuchem wojny zajął się był „badaniami filozoficznemi“, a nie polityką. Byłoby to uchroniło i Niemcy i resztę świata od wielu przykrości, których im nikt i nic już nie powetuje.



Kaprysy tegorocznej zimy: Górska wioska w Bawaryi zasypana śniegiem.

Pożegnanie zasłużonego urzędnika.

Stanowisko urzędnika, zwłaszcza w dziale administracyjnym, bywa z reguły bardzo trudne i przypomina ogromnie ów starożytny taniec wśród mieczów przy którym wykonywującemu grozi z każdej strony niebezpieczeństwo.

W tem położeniu znajduje się też niejednokrotnie urzędnik administracyjny, który, o ile chce z całą ścisłością stosować przepisy i rozporządzenia, narazi się ludności, chcąc zaś iść jej po obywatelsku na rękę, ściąga na się zarzut, że jest za słaby i nie nadaje się do pełnienia tak odpowiedzialnego i ważnego stanowiska.

Broń zaś Boże, aby mu się przypadkowo wybory nie powiodły, aby przeszedł niepożądany kandydat... Tu był grób jego działalności i co najmniej przeniesienie, jeśli nie spensyonowanie „ze względów zdrowia.. na własną prośbę“...

Tak było za czasów austryackich, tak jest jeszcze i dzisiaj i tak będzie dopóty, póki stary system biurokratyczny nie zostanie zupełnie usunięty.

Nie brakuje przecież wyjątków, które potrafią obrać tak pożądaną pośrednią drogę, to jest zadowolić i władze przełożone i ludność. Szczęśliwych takich jest stosunkowo niewielu, a tajemnica ich powodzenia leży w tem, że potrafili ściśle przestrzegać postanowień litery prawa, ale stosowali je z wyrozumiałością i po obywatelsku. Wychodziły na tem dobrze obie strony, a takie postępowanie przyczyniało się zawsze i wszędzie do obudzenia zaufania ludności do urzędu i jego przedstawicieli.

Temi zasadami kierował się ustępujący starosta żywiecki, radca Namiestnictwa Czesław Żułkiewicz. Pożegnanie jego z okazyi przeniesienia na inne stanowisko, było aż nazbyt wymownym dowodem, jakie uznanie, zaufanie i sympatyę potrafił na tak trudnem i odpowiedzialnem stanowisku zdobyć sobie u przełożonych władz, współpracowników i ogółu miejscowej i okolicznej ludności.

Nasz korespondent żywiecki w ten sposób podaje sprawozdanie z pożegnania ustępującego starosty:

„W tych dniach żegnał Zywiec ustępującego z kierownictwa starostwa żywieckiego radcę Namiestnictwa Czesława Zułkiewicza.

Zegnały go wszystkie sfery ludności z żalem, bo dewizą jego w postępowaniu z ludnością było zawsze: „z sercem i rozumem“, czemu dały swój wyraz w uroczystych dwóch bankietach, wydanych przez sfery obywatelskie, kupieckie i urzędnicze na jego cześć.

Odjeżdżającego żegnały na dworcu kolejowym tłumy publiczności z orkiestrą kolejową, a wsiadającego do pociągu z peronu wynieśli na rękach jego urzędnicy i obsypali go kwiatami.



Kaprysy tegorocznej zimy: Engadin w swojej śnieżnej szacie.



Kaprysy tegorocznej zimy: Fantastyczne formacye lodowe w górach bawarskich.



Kaprysy tegorocznej zimy: Pomnik Gambetty w Narbonie (Poł. Francya), pokryty śniegiem i soplami lodu.

Kaprysy tegorocznej zimy.

W ostatnich czasach uległo wszystko na świecie tak gruntownej przemianie, że dziadowie i ojcowie nasi, gdyby danem im było powrócić na ziemię, nie potrafiliby się wyznać w obecnych stosunkach, a tem bardziej z nimi pogodzić.

Zmiany te wywołane zostały w znacznej części następstwami wojny światowej, ale są między niemi i takie, które z nią w żadnym związku przyczynowym nie stoją, a do nich należą przedewszystkiem warunki atmosferyczne, które w kilkunastu ostatnich latach gruntownej na całym prawie świecie uległy przemianie. Żyjemy w kraju, w którym, dzięki jego położeniu geograficznem", w połowie stycznia srożyła się stale najostrzejsza zima, dokuczały mrozy i śnieżyce, a w tym roku pada sobie najspokojniej deszcz, jakiego nie powstydziłaby się daleko posunięta wiosna. Nie wyklucza to wszakże, że możemy jeszcze i to w niedalekiej nawet przyszłości, mieć mrozy, które się nam dadzą porządnie we znaki. Konstatujemy przecież fakt, że obecna zima nie przypomina zupełnie tych zim staropolskich, o których tyle się czytało.

Tam natomiast, gdzie dawniej w tym okresie bywało ciepło, albo, najwyżej, przypadała pora deszczowa, śnieg i mróz, do jakiego tamtejsza, południowa ludność nie przywyczaiła i oczywiście nie przygotowała się należycie na ich przyjęcie.

I z pewnością nikt nie zdziwiłby się zbytnio, gdyby którego dnia doniosły telegramy o zaspach śnieżnych, utrudniających dostęp do równika lub o wypadku porażenia słonecznego, któremu uległ jeden z podróżników do bieguna północnego.

Co jest powodem tych niespodzianek meteorologiczno-atmosferycznych, na to odpowiadają fachowcy. Wywołuje je zmiana położenia osi ziemskiej wobec słońca, a także i wpływy zmian, dokonujące się stale we wszechświecie, owe plamy i dziury na słońcu, o których tyle pisali astronomowie i tym podobne.

Tegoroczna zima chwyciła nas wczas, ale też i rychło pofolgowała, meteorologowie twierdzą przecież, że nas tak prędko nie opuści i przepowiadają śnieżne zawieje na kwiecień. Natomiast cieszą się tem południowe okolice, w szczególności południowa Francya, jak świadczy illustracya, zamieszczona w niniejszym numerze, a pochodząca z Narbony. Pomnik Gambetty w tem mieście jeszcze nigdy z pewnością nie miał takich pięknych, ozdób ze śniegu i lodu. W roku bieżącym nie byłoby też od rzeczy, gdyby w południowej Francyi urządzono kuligi, skoro w Polsce możemy się bez nich obchodzić, gdyż koniecznym ich warunkiem mróz, śnieg i sanna.

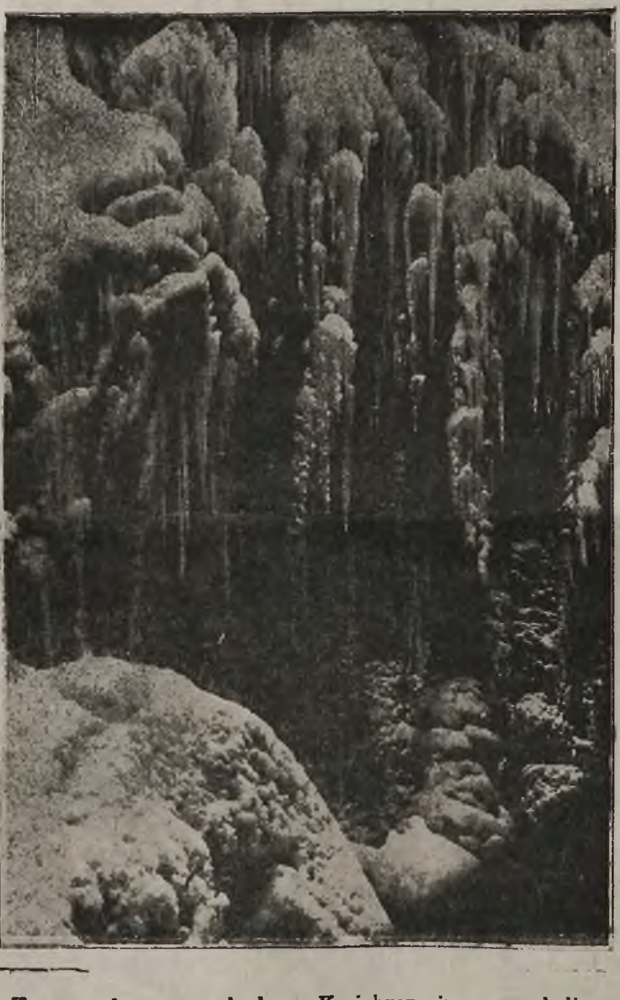
Także i w innych okolicach południowej Francyi i w północnych Włoszech spadły obfite śniegi, co zwłaszcza w tych ostatnich przyczynić się powinno do ostudzenia zbytnich zapałów, nie zawsze wiodących do pożądanego celu.

W Niemczech, zwłaszcza zaś w Bawaryi, tegoroczna zima dopisała w zupełności. Jak świadczą nadesłane stamtąd fotografie, roztoczyła ona tam w całej krasie i majestacie swe panowanie. Także i w Szwajcaryi spadły obfite śniegi.

Na ogół na świecie nie dzieje się przecież tak, jak należałoby sobie życzyć... Im produkcya węgli mniejsza, tem ich zapotrzebowanie większe. Dosyć wycierpieliśmy już z powodu mrozów, niezawodnie dokuczą nam one jeszcze, niechaj więc „przyjemności" zimy zakosztują także i te okolice, które ją znały tylko z opisów i opowiadań.

Zbrojenia morskie
Stanów Zjednoczonych.

Wojna światowa, tak przynajmniej zapewniano, miała położyć raz na zawsze kres molochowi militaryzmu, który pożerał dotąd lwią część dochodów każdego państwa ze szkodą wszystkich innych dzia-



Kaprysy tegorocznej zimy: Krajobraz zimowy z okolicy Partenkirchen.

łów gospodarki krajowej. Na cele wojskowe nie mogło nigdy zabraknąć funduszów, konieczność coraz nowszych, w miliardy idących kredytów na dalsze zbrojenia, tłómaczono wymaganiami pogotowia wojennego, wywołanego ogólną sytuacyą, polegającą głównie na wzajemnem straszeniu się.

Był to poprostu między mocarstwami wyścig, prowadzący je do ruiny finansowej i ekonomicznej.

Wojna światowa miała temu kres położyć i doprowadzić do ogólnego rozbrojenia, a Liga Narodów miała się stać owym najwyższym trybunałem świata, powołanym do rozstrzygania w sposób pokojowy międzynarodowych sporów.

Zamiary te, bardzo piękne i szlachetne w swem założeniu, miały jednak pozostać na długo jeszcze, a może i na zawsze, teoryą, nie mającą się doczekać produktywnego zrealizowania.

Z tej Ameryki, z której wyszła idea Ligi Narodów, wyszedł też pierwszy na nią zamach, a tak skuteczny, że odebrał jej powagę i znaczenie.

W ślad za tem, z tejże samej Ameryki, która była główną propagatorką ogólnego rozbrojenia, nadchodzą wieści o nowych, i to na wielką skalę... zbrojeniach morskich.

Jeżeli zatem pogotowie wojenne ma być w dalszym ciągu gwarancyą pokoju, bardzo zresztą niepewną, jak to wykazało dotychczasowe doświadczenie, przyznać się musi, że wojna światowa, która tyle ofiar pociągnęła, nie zmieniła zupełnie dawnych, fatalnych stosunków międzynarodowych. Stany Zjednoczone, które dotąd z militaryzmem miały stosunkowo najmniej do czynienia, reorganizują i wzmacniają w przyspieszonem tempie swą flotę wojenną, a zaniepokojona tem opinia publiczna zapytuje, przeciw komu są te zbrojenia skierowane. Tak trzeźwy i praktyczny człowiek, jak Amerykanin, nie robi bowiem nic bez ważnego powodu.

W pierwszym rzędzie zwraca się uwaga na wiszący w powietrzu, a datujący się od lat, konflikt amerykańsko-japoński o panowanie na pacyfiku, nie jest przecie wykluczone, że przygotowania te mogą się odnosić i do ostatecznego porachunku z okazyi rozwiązania spółki i, dajmy na to, podziału niemieckich kolonii, mogących się stać kością niezgody między dotychczasowymi przyjaciółmi, obwiniającymi się o dążenia imperyalistyczne, nie wyrzekających się ich przecie, o ile rozchodzi się o ich własne, żywotne interesy.

W rozmowie z zastępcą „Daily Tel." powiedział ambasador japoński: Nie wiem, jakim sposobem my, którzy mamy flotę o połowę słabszą od floty amerykańskiej, moglibyśmy żywić jakiekolwiek zamiary napastnicze wobec Stanów Zjednoczonych? Zresztą Stany Zjednoczone również nie są wrogo usposobione względem nas. Jednakże zbudowały one flotę tak potężną, że pokonałaby każdej chwili wszystkie inne i w danym razie dozwoliłaby Ameryce dyktować swoje pojęcia o prawach narodów innym państwom. Zarówno mądrość i takt polityczny, jak i poczucie godności narodowej, nakazują nam twierdzić, że jako potęga morska, nie narazimy się nigdy na to, aby znaleźć się na łasce innej floty.

Na zapytanie, czy tak silne obciążenie budżetu nie stoi w sprzeczności z zamiarami pokojowymi, ambasador japoński odpowiedział: „Cały świat przekonał się, jakiem szaleństwem jest wojna. Nikt zaś lepiej nie wie o tem od nas. My jesteśmy realnymi i zrozumieliśmy, że wojna nowożytna, to bankructwo, zarówno dla zwyciężonego, jak i dla zwycięzcy. Proszę nam wierzyć, iż nie mamy zamiaru popełnić tak olbrzymiego błędu, jak Niemcy w roku 1914 i stracić w ten sposób, przez czyn niedorzecznie napastniczy, tę jedyną sposobność do odegrania roli gospodarczej, jaką nam daje działalność pokojowa".



Zbrojenia morskie Stanów Zjednoczonych: Typ nowego okrętu wojennego, których znaczniejszą liczbę uruchomił zarząd amerykańskiej marynarki.

MATYLDA SERAO

UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA: MARYA TOCZYSKA

26

I.

Ale wszystkie wysiłki ich były próżne.

W niedalekim oddaleniu od mostu znajdował się mały domek, służący za pierwsze schronisko dla uratowanych topielców.

Rybacy po krótkiej naradzie postanowili nieznajomego tam przenieść. I natychmiast przy domku ratowniczym zgromadził się tłum, żądny jak zawsze sensacyi i nowości.

— Doktora! doktora! — zawołał jakiś głos.

Ale widocznie nie było żadnego lekarza w tłumie, bo człowiek uratowany leżał dalej blady, zemdlony na ziemi, a głos wzywający pomocy rozbrzmiał jeszcze głośniej, rozlegając się po całej ulicy Westminster.

— Doktora! doktora! prędko doktora!

Nagle przed domkiem zatrzymał się elegancki czarno-niebieski cab, zaprzągnięty w przepysznego gniadego konia. Pan jakiś otworzył drzwiczki i żywo zeskoczył na chodnik.

— Oto jest lekarz — zadźwięczał ostry, świszczący głos.

Tłum rozstąpił się, czyniąc wolne przejście.

Przybyły człowiek był małego wzrostu i ułomny. Z pod futra bogatego, przybranego szerokim kołnierzem z niebieskich lisów, wydawał się garb duży, widoczny. Twarz jego była bardzo brzydka, blada, skurczona nerwowo. Na pierwszy rzut oka uderzało w tej twarzy najbardziej spojrzenie: spojrzenie błyszczące, przeźroczyste jak kryształ zielony; spojrzenie tak przenikliwe, że zdawało się sięgać aż na dno duszy. Zbliżył się do samobójcy, lecz nie pochylił się nad nim i zwrócił się do jednego z rybaków.

— Topielec?

— Tak.

— Wypadek?

— Nie, samobójstwo.

— Kiedy wyratowany został?

— Będzie już pół godziny.

— Coście robili?

— Daliśmy mu wódki.

— Wypił?

— Wypił, ale nie uzyskał przytomności.

Wtedy spokojnie, nie zdejmując rękawiczek ani futra, pochylił się nad zemdlonym i wpatrzył się w niego uważnie. Żaden wyraz nie malował się na twarzy tego dziwnego doktora. Twarz jego pozostała blada, obojętna. Tłum patrzał na niego ze zdumieniem, bo zdawało się wszystkiem, że każda chwila przemijająca bez skutku, była wyrokiem śmierci dla tego nieszczęśliwego, leżącego tu na ziemi bez zmysłów. Lecz zdziwienie wzmogło się jeszcze, kiedy doktór ściągnął powoli z rąk rękawiczki i błysnął białemi, długiemi rękoma, blademi jak u trupa.

— Podnieście go — rozkazał rybakom.

Strażnicy podjęli pod ramiona zemdlonego i unieśli cokolwiek w górę. Wówczas garbaty lekarz o zielonych oczach oparł obydwie dłonie na jego skroniach i pochylił się niżej nad nim, patrząc uporczywie w jego twarz. Zemdlony nie poruszył się, tylko lekki koloryt zaróżowił jego policzki.

Doktór odstąpił na chwilę od niego i obecni widzieli jak wargi jego poruszały się, wymawiając jakieś ciche słowa. I znowu nachylił się, szepcąc jakieś głośniej wyrazy wprost w twarz zemdlonego.

Wtedy ujrzano rzecz dziwną; człowiek ten poruszył się lekko rękami i nogami, uniósł głowę, otworzył oczy, obracając niemi na wszystkie strony, ale tak jakgdyby nie widział wcale otaczających go ludzi.

— Jak się czujesz? — zapytał doktór w języku angielskim.

— Dobrze — odparł samobójca, nie zwracając się do niego, głosem cichym, bez wyrazu.

Już teraz lekarz nie trzymał rąk wspartych na jego skroniach, lecz ujął jedną jego rękę i ściskał ją powoli.

— Dlaczego uczyniłeś to? — zapytał lekarz.

— Bo byłem biednym — odparł człowiek sonambulicznym głosem, jak we śnie.

— Nie możesz pracować?

— Nie mogę od dwóch miesięcy znaleźć roboty.

— Czem się zajmujesz?

— Jestem typografem.

— Anglik?

— Nie, Austryak, Galicyanin.

— Katolik?

— Nie.

— Protestant?

— Nie.

— Luteranin?

— Nie.

Zaległo milczenie. Tłum, już mniej liczny, patrzał niechętnie na robotnika, który chciał się życia pozbawić.



Przybyły człowiek był małego wzrostu i ułomny.

Doktór pochylił się nad nim i szepnął mu coś do ucha. Robotnik zadrżał, otworzył szeroko oczy i wymówił z trudem:

— Tak.

Wargi lekarza zadrgały lekko.

— Czy czujesz się już lepiej? — zapytał.

— Trochę...

— Spróbuj! — nalegał doktór rozkazująco.

— Mam kości jakgdyby pogruchotane, pewnie coś złamanego jest we mnie — skarżył się żałośnie robotnik.

— Nie masz nic złamanego, a nawet gdyby tak było, rozkazuję ci wstać i iść — powtórzył ostro doktór.

Robotnik z ciężkiem westchnieniem uniósł się i stanął, chwiejąc się na nogach. Doktór ujął go zaraz za rękę i uścisnął, rozkazując:

— Idź, idź!

I rzeczywiście chory posunął się kilka kroków naprzód i szedł już dalej machinalnie, jakgdyby w uśpieniu. Tymczasem tłum rozszedł się już prawie, czyniąc różne uwagi o dziwnym lekarzu, który uzdrawiał, nie lecząc.

— Posłuchajno — zwrócił się lekarz do robotnika. Ty nie masz ani pieniędzy, ani domu.

— Nie, nie mam nic!

— Oto pieniądze dla ciebie — rzekł doktór, wyjmując banknot z portfela, wyciągniętego z futra. — Przyjdź do mnie. Jak się ty nazywasz?

— Benjamin Henner.

— Jak powiedziałeś?

— Nazywam się Benjamin Henner — powtórzył bezdźwięcznie robotnik.

— To niemożliwe! — wykrzyknął doktór, blednąc silnie.

— A jednak tak jest — szepnął monotonnie robotnik.

— Henner? Henner!

— Tak, Henner.

— Gdzie mieszkasz?

— Na ulicy Buxley, numer 19. Ale ja przyjdę do pana, jeżeli pan pozwoli.

— Nie, nie. Ja przyjdę sam do ciebie. Do widzenia.

— Dziękuję panu.

— Ale ty nie zamierzasz wyprowadzić się stamtąd — zaniepokoił się doktór.

— Nie, panie.

— A więc czekaj na mnie... przyjdę do ciebie na ulicę Baxley — dodał żywo.

Przed odejściem wynagrodził jeszcze obydwóch rybaków, którzy już teraz byli jedynymi świadkami tej sceny. Jednakże przed wskoczeniem do cab'a, doktór raz jeszcze ujął w swoje dłonie ręce uratowanego robotnika, uścisnął je lekko, lecz długo, poczem ostro spojrzał w jego oczy. Benjamin Henner zadrżał silnie i bez słowa, bez ukłonu, oddalił się automatycznym krokiem.

Doktór zaś wsiadł do oczekującego na niego cab'a i podał adres swojego mieszkania. Zamknąwszy drzwiczki, starannie zasłonił szybę siatką i z głuchem westchnieniem opadł na miękkie poduszki. Twarz jego była zmieniona i jeszcze bledsza niż zazwyczaj.

— To ja go uratowałem! ja sam! — szepnął przez zaciśnięte zęby z nerwowem, gorączkowem podnieceniem!

Przesunął kilkakrotnie ręką po czole, jakgdyby chciał odpędzić od siebie dręczące go jakieś myśli, lecz spojrzenie jego wyrażało coraz to silniejszy niepokój i pomięszanie.

— To on! tak, to on! Nędzny, bez chleba, bez pracy...

Lekka mgła zaszkliła jego zielone oczy. Markus Henner, ów okrutny, cyniczny i bezwzględny człowiek płakał!

Kiedy cab podjechał pod wspaniały dom, mieszczący się w arystokratycznej, wytwornej dzielnicy, twarz doktora przybrała już dawny obojętny, nieprzenikniony wyraz. Gwałtownym wysiłkiem woli zdołał on opanować się, zgłuszyć wewnętrzny niepokój i wyrzuty. Tylko bladość matowa rozlana po twarzy i pogłębienie oczu, wskazywało walkę, jaką ten człowiek przeszedł sam ze sobą.

Tymczasem otworzono bramę i cab szybko wjechał w bramę dziedzińca. Obecny portyer silnie uderzył w „gong" indyjski, zawieszony na marmurowych schodach, na szczycie których pod jedwabną draperyą stało w oczekiwaniu dwóch służących w wspaniałej liberyi. W rozległym przedpokoju, wybitym ciemno-purpurowym suknem, nie było nikogo. Tylko suty, wesoły ogień palił się na kominku, roztaczając wokoło ciepłą, przyjemną atmosferę.

Markus Henner zatrzymał się tu na chwilę, jakgdyby zastanawiał się nad czemś, poczem krokiem pewnym wszedł do pierwszego pokoju, umeblowanego również z królewskim zbytkiem. W pokoju tym było pełno ludzi oczekujących. Byli pomiędzy nimi i starzy i młodzi, dzieci nawet, a wszyscy należeli do różnych warstw społecznych.

(Ciąg dalszy nastąpi).

M. STAWISZ.

GORĄCZKA ZŁOTA

POWIEŚĆ

29 I.

Pokrzepiony trochę temi postanowieniem, Gawlik powstał z fotelu i zaczął się zastanawiać, czyby nie lepiej zrobił, wracając jeszcze wieczornym pociągiem do Krakowa. Tak! Bardzo ładnie! A rachunek w hotelu? jakże go załatwi? Ogołociły go przecież te łotry ze wszystkiego. A i koszta powrotu dosyć znaczne.

Przypomniał sobie jednak, że w pularesie, który nosił w kieszeni spodni, musi coś być pieniędzy. Może choć to mu wspaniałomyślnie zostawili.

Odetchnął z ulgą, kiedy odnalazł pulares. Ale niestety było w nim tylko kilkadziesiąt marek. Za te pieniądze nie było można nawet marzyć o powrocie do Krakowa.

Ogromne zniechęcenie ogarnęło Gawlika.

— Wpakowałem się po same uszy, — szepnął rozpaczliwie — ciekawy jestem, jak ja teraz wybrnę z tej sytuacyi. — Sam teraz wyglądam na złodzieja i szantażystę, bo nie mam nawet czem zapłacić rachunku hotelowego. Ah! żeby się ta Warszawa zapadła pod ziemię! Będę miał po niej pamiątkę do samej śmierci! Co ja teraz zrobię! Mój Boże! Co ja teraz zrobię! Jak się wydostać z tego przeklętego miasta. Nerwowym ruchem Gawlik zaczął chodzić po pokoju, roztrącając niecierpliwie sprzęty po drodze!

— Aha! mam już! — zawołał po chwili z radosnym błyskiem w oczach, stając na środku. — Że też mi to wcześniej na myśl nie przyszło! Zatelegrafuję do Grodzickiego po pieniądze! Niech mnie ratuje! Innego wyjścia nie widzę! Oczywiście poproszę go o tajemnicę przed żoną, bo miałbym się z pyszna, gdyby się dowiedziała, o mojej nieszczęśliwej przygodzie.

Wyszedł zaraz na miasto i kierując się wskazówkami przechodniów, doszedł do poczty, skąd wysłał naglącą depeszę do Grodzickiego.

Pieniądze nadeszły trzeciego dnia. Przez ten czas Gawlik, wściekły, znudzony i głodny, bo musiał dobrze liczyć się z temi kilkudziesięcioma markami, znalezionemi w pularesie, włóczył się po ulicach Warszawy, upatrując uporczywie pana Hermana i zacnej jego małżonki, pani Izy. Ale przezorna para dobrze się ukryć umiała. Gawlik nie natrafił na żaden ślad po nich. Zapytany płatniczy w restauracyi, gdzie spędzono wieczór przed udaniem się do kabaretu, oświadczył, że po raz pierwszy widział ich wówczas w lokalu.

Kiedy pociąg ranny uwożący Gawlika w powrotną drogę do Krakowa, wyruszył z dworca, Gawlikowi zdawało się, że jakiś straszny ciężar nagle spadł mu z piersi. Powracał, co prawda, bez pieniędzy, nie zrobiwszy żadnego interesu, ale cieszył się, że wszystko obeszło się bez rozgłosu, że tylko jeden Grodzicki, któremu ufał, wiedzieć będzie o tem, co go spotkało.

X.

Sezon w Zakopanem wrzał w całej pełni. Wille, pensyonaty, hotele, przepełnione były publicznością, której w latach przedwojennych Zakopane nie oglądało nigdy. Na werandzie u Płonki i w „Morskiem Oku" rozbrzmiewał cały dzień gwar podniesionych głosów i śmiechów, wybijając się chwilami wcale nieharmonijną gamą nad dźwiękami orkiestry, wygrywającej sentymentalne walce i nokturny. Już rzadko kiedy spotkać tu było można typy tak często widywane w czasach przedwojennych i tak sympatycznie wyborowej publiczności, przybywającej z „za kordonu" i z kresów, charakterystyczne typy „braci artystycznej" — o rozwichrzonych czuprynach, szerokich, powiewających na wietrze pelerynach, a zawsze niefrasobliwych, pełnych werwy humorach. Niebywała drożyzna wojenna wypłoszyła stąd ten element, który, jak się zdawało, stał się był konieczną potrzebną gości, odwiedzających Zakopane i którego brak niejednemu, pamiętającemu lepsze czasy, dał się dobrze we znaki. Zastąpił go zatem całkiem inny żywioł, tak samo może głośny i hałaśliwy, tylko z tą różnicą, że humor tamtych płynął z wyobraźni, będącej w wiecznem podnieceniu artystycznem i pogardy wszelakich smutków i szarych przeżyć, kiedy u tych „nowych" był jawnym dowodem zadowolenia, biorącego źródło w potężnie napchanym banknotami portfelu i śmiesznej pewności siebie.

I bawił się ten ludek świeżo zrodzony, sypał grubym śmiechem i żartami, niemającemi z dowcipem nic wspólnego, sadził się, czem mógł, by w swojem przekonaniu olśnić i do zazdrości pobudzić tych wszystkich, którym obce były skomplikowane tajniki szybkiego zdobywania majątku na gruzach cudzych nieszczęść i łatwowierności. Szeroko i głośno bawił się w tym sezonie ludek zakopiański, niepomny na huragan, który wstrząsał podwalinami zagrożonego narodu, chwytając tylko z ogólnego zamętu to, co było mu potrzebne do wytworzenia sobie nowych warunków życia i wydostania się siłą na ten szczebel społeczny, na który dotąd tylko mógł patrzeć zdaleka.



Gawlikowa z Kazią i Staszką wyjechały do Zakopanego, wioząc ze sobą kilkanaście kufrów i pudełek.

Hotel „Stamary" na ulicy Marszałkowskiej po raz pierwszy chyba od dnia założenia gościł u siebie tak wyjątkową publiczność.

Cztery pokoje na pierwszem piętrze zajęte zostały na sezon cały przez rodzinę Gawlików, nie znającą jeszcze Zakopanego, przybyła tu dlatego, że wszyscy najbogatsi mieszkańcy z Krakowa tu zwykli byli zjeżdżać na wypoczynek, a głównie także z tej przyczyny, że Szulcowie wraz z narzeczonym Wikty postanowili tu spędzić kilka tygodni.

Mieszkania obydwu rodzin sąsiadowały prawie ze sobą. Panie więc miały sposobność podpatrywać się wzajemnie i raczyć się przy nadarzającej się sposobności złośliwemi półsłówkami i ironicznymi uśmiechami, które utrzymywały ciągle pomiędzy niemi stan gorączkowego naprężenia i podjazdowej wojny.

Gawlik dojeżdżał tylko niekiedy w ciągu tygodnia. W głębi duszy był on bardzo zadowolony z tego stanu rzeczy i po powrocie z Warszawy zgodził się skwapliwie na projektowany wyjazd żony i córek.

Unikał tym sposobem ciągłej kontroli, która mu już dobrze ciążyć zaczynała i łatwiej mógł przed żoną ukryć stratę, poniesioną w Warszawie.

Jeden tylko Grodzicki, do którego Gawlik wybrał się pokryjomu, aby mu zwrócić pieniądze, przysłane, przeciwny był tej nowej fantazyi Kazi i szczerze ostrzegał go przed jej następstwami.

— Ty, Władek! bądź ostrożny — nalegał. — Galopujesz się w wydatkach coraz więcej, a może się to wszystko skończyć katostrofą.

— Eh! mój kochany, ty znowu wszystko widzisz zawsze w czarnych kolorach. Zaraz katastrofa! nieszczęście! — wyśmiewał Grodzickiego Gawlik. — Cóż znowu wielkiego to Zakopane. Tyle znajomych się wybiera — Szulcowie już pojechali.

— Mogą sobie pozwolić na takie zbytki ci, którzy mają pewne i stałe dochody, ale nie ty! Czyś już zapomniał, ile straciłeś przez swoją lekkomyślność w Warszawie?

— Ah! mógłbyś już o tem nie wspominać — żachnął się niecierpliwie Gawlik. — Niema znowu o co robić tragedyi! odbiję się na innych interesach.

— Albo też wpadniesz jeszcze lepiej.

Na tem zakończyła się ich rozmowa, tak jak było postanowione, Gawlikowa z Kazią i Staszką wyjechały do Zakopanego, wioząc z sobą kilkanaście kufrów i pudełek, wypełnionych świeżymi kostyumami i sukniami.

— Musi się tam elegancko pokazać — napierała na matkę Kazia. — Hotel Stamary, gdzie mamy zajechać, jest jeden z pierwszorzędnych. Zajeżdżali tam zawsze sami tylko hrabiowie i wielkie figury. Niechże mama pamięta, że do obiadu należy się zawsze przebierać. Czytałam, że tak robią wielkie panie za granicą.

— Już ty się nie bój o mnie — zapewniała ją Gawlikowa. — Przecież mnie samej na tem zależy, ażeby nas tam honorowali, jak przystało. Szulcowej i Wikcie ślepia powyłażą, jak zobaczą nasze tualety. Żeby tylko Stasia nie zaczęła grymasić po swojemu i wstydu nam nie chciała sobą narobić. Takie to niemrawe dziewczysko, inoby ciągle wspominała dawne czasy — ten przeklęty sklepik na Felicyanek.

— Stasią ja się już zajmę — postanowiła energicznie Kazia. — Najlepiej wydać ją jak najprędzej za tego Markiewicza, to i spokój z nią będzie. Zaraz po moim ślubie zabierzemy się do niej.

Stasia bardzo niechętnie wyjeżdżała z Krakowa. Przez ten wyjazd odpadła dla niej ostatnia nadzieja widywania się z Frankiem Kuźmą. Te spotkania ich ograniczały się co prawda na kilku słowach sekretnie zamienionych na ulicy, a najczęściej tylko na ukłonie wzajemnym, bo Stasia lękała się wymówek i gniewu matki, ale i to wystarczyć im na razie musiało. Dla Stasi dzień cały wydawał się weselszy i jaśniejszy, jeżeli biegnąc do szkoły, mogła choć przypadkowo ujrzeć Franka i zamienić z nim serdeczne spojrzenie i uścisk ręki. Czuła się też bardzo nieszczęśliwą w Zakopanem. Ani pokój jej, wykwintnie urządzony, ani jasne, lekkie sukienki, w które teraz ubierać się jej kazano, ani wycieczki gremialnie urządzane w góry, nie mogły jej zastąpić Franka i choć na chwilę myśli odwrócić od niego.

Najokropniejsze zaś dla niej były te dnie, w których przyjeżdżał z Krakowa Markiewicz i jawnie zaszczycał ją swoimi względami.

Nie mogła bez wstrętu patrzeć na tę twarz jego, wiecznie rozjaśnioną ckliwym uśmiechem, na pewny siebie, zarozumiały i próżny wyraz lekko przymrożonych oczu, z których głębszej myśli wyczytać było trudno.

(Ciąg dalszy nastąpi)

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłómaczenie z angielskiego Marji Staroszewskiej.

TOM I.

22

Rozmawiali po francusku. Zawsze teraz z sobą rozmawiali po francusku, i Mrs. Armine wolała to. Może nie bardzo podobałby się jej ten człowiek przetłómaczony na angielski. Pragnęłaby z nim rozmawiać po arabsku, lecz była za leniwą, żeby się nauczyć.

— Nie zdaje się panu? — dodała.

Myślę, że mój sposób rozumienia pani jest lepszy od sposobu Mr. Armine — dodał spokojnie.

Zapalił papierosa.

— W jaki sposób pani mnie rozumie, tego nie wiem — dodał.

— Czy ja pana wogóle rozumiem? — rzekła — czy pan chciałby, żebym go rozumiała? —

Nagle jej się wydało, że stoi przed skałą i doznała ostrego rozdrażnienia, poczem nastąpiło uczucie chłodniejsze. Długi dzień był przed nią. Była w doskonałem osamotnieniu z tym człowiekiem. Była kobietą, która przez długie lata uważała za swój interes rozumieć mężczyzn. Rozumiejąc ich — gdyż czem jest piękność bez pomocy rozumu, pozyskała bogactwa i roztrwoniła je. Rozumiejąc ich, kiedy krytyczna chwila nadeszła, zabezpieczyła się, biorąc jednego z nich za męża; niedorzecznem byłoby przypuszczeniem, że ten dziecinny człowiek — pomyślała o zegarze z kukułką, o złoconej kulce w fontannie — może ją zwodzić. Jeżeli tylko zechce, potrafi go odwrócić, jak rękawiczkę. I nie czekając na jego odpowiedź, rzuciła pytanie: „Kto dba o takie rzeczy nad Nilem?

Zaśmiała się.

— A zwłaszcza kobieta zachodnia. Ja nie dbam o to; zanadto się upajam waszem słońcem.

Spojrzała na niego.

— Będziemy wewnątrz, czy zewnątrz? — zapytała — dom, czy pomarańczowe ogrody?

— Jak pani sobie życzy.

Lecz zwrócił się do ogrodu, a ona poszła za nim.

Kiedy schodzili z tarasu, doleciał ich głośny śpiew fellaha, który pracował w jakiemś oddalonem miejscu nad Nilem, przywodząc jej na pamięć wielką rzekę, która zdawała się ciągle przepływać przez jej egipskie życie, przywodząc jej na pamięć, że Górny Egipt, to jakby korytarz pomiędzy górami Libii a pustynią Arabską. Stanęła u stóp schodów, żeby słuchać. Śpiew umilkł. W tem, po chwili, dziki głos podniósł się znowu i gwałtownie wdarł się pomiędzy regularne rzędy drzewek.

Pierwszy raz zobaczyła człowieka, z którym się rozwiodła w operze w Londynie. Przypomniała sobie teraz, że grano Aidę, z krzykiem Wschodu, ze snami nad Nilem. I na chwilę, wydało się jej, że ukryty Egipcyanin, pracujący nad rzeką, śpiewał ze sceny, że ten pomarańczowy ogród był tylko cudowną dekoracyą. Lecz złudzenie było zanadto doskonałe na scenę. Rzeczywistość wdzierała się z szczerością i powagą, które nie mogły być udane.

A teraz, spacerowała po willi Nuit d'Or. Nazwę tę, widocznie nadał swej posiadłości dziecinny człowiek złoconej kulki i nazwa ta mogła śmiało figurować na scenie. Uśmiechnęła się na tę myśl.

— Co za setki i setki pomarańczowych drzew! Zgubiny się w nich — rzekła.

Dom znikł z oczu pomiędzy drzewami.

— Dokąd idziemy? — dodała.

— Za chwilę pani zobaczy.

Szedł wolno, lekkim, pewnym krokiem.

— Teraz, na prawo.

Poszła za jego wskazówką i zobaczyła przed sobą altanę z bambusów, otoczoną geranium. Altana była zwrócona w stronę Nilu i Mrs. Armine, wszedłszy do niej, mogła widzieć przy końcu długiej alei nierówny brzeg rzeki i rozpięte żagle płynących na południe do słońca łodzi. Gdzieś w przestworzu śpiewał skowronek.

W altanie był rozłożony bardzo piękny dywan, krzesło stało dla niej przygotowane, a przed niem leżała poduszka pod nogi. Na stoliku stała kawa. W srebrnych pudełkach znajdowały się papierosy, zapałki i wschodnie słodycze, przesypane cukrem. Na końcu stołu, tuż przy jej krześle, stała ładna szkatułka z pozłacanego srebra, z lustrzanym wierzchem.

— Co to jest? — rzekła, biorąc ją do ręki.

Otworzyła ją i zobaczyła puszek do pudru, puder, kohl, flakon wody różanej i różne kosmetyki, ogólnie używane przez kobiety na Wschodzie. Przyglądała się im ciekawie i uważnie, poczem spojrzała z uśmiechem na Barondi'ego, przypomniawszy sobie delikatny, choć gorący protest Nigla. Tak — mogła być dziwnie swobodną z Barondi'm, ale — teraz, trzeba będzie odwrócić rękawiczkę.

Usiadła, oparła nogi na poduszce, Barondi siadł natychmiast po turecku na dywanie. Ubrany po turecku, mógł wyglądać niezgrabnie, nawet śmiesznie. Mówiła to sobie, patrząc z góry na niego; lecz wiedziała, że przybrał najodpowiedniejszą pozę, wygodną, swobodną — a nawet — wdzięczną. I odczuła jednocześnie tajemnicę jego wschodniego ciała, jak czasami odczuwała tajemnicę jego ducha.

— Pozwoli pani kawy, po swej przejażdżce? — rzekł.

— Owszem, proszę nie wstawać. Naleję dla siebie i dla pana.

Uczyniła to z wdziękiem, który oczarował Nigla, a nawet i Mayera Iseacsona. Podniosła welon, wzięła pozłacaną szkatułkę, przejrzała się uważnie i krytycznie w lustrze, wyjęła pusek i zręcznie go użyła. Instynktownie wiedziała, że Barondi był rad.

Kiedy już była zadowolona ze swej powierzchowności, odstawiła szkatułkę.

— Śliczna — rzekła, wskazując na nią.

— To dla pani.

— Zabiorę ją z sobą.

— Pragnęłaby, żeby duży brylant lub szmaragd był w niej oprawiony. Była zmuszoną sprzedać większą część swych najpiękniejszych klejnotów, kiedy zły czas nastał dla niej w Londynie.

— Muszę zapalić papierosa.

Kawa i papieros były doskonałe. Usłyszała lekkie, łagodne stuknięcie. To pomarańcza spadła z gałęzi na czerwony warkocz geranium.

— Dlaczego pan do mnie nie mówi! — spytała Barondi'ego. Lecz powiedziała to z leniwą obojętnością. Czyżby w tym poranku, stworzonym do marzenia w rozkosznem ustroniu, z tym milczącym człowiekiem, który nie spuszczał z niej oczu, jej postanowienie zaczynało słabnąć?

— Poco mam do pani mówić? Nie należę do ludzi, których się ciągle słyszy bez względu na to, czy mają coś do powiedzenia, czy nie. Co pani sobie życzy, żebym jej powiedział? — rzekł.

— Zapewne.

Wzięła do ręki wachlarz z liścia palmowego, który położył na stole.

Jak ma z nim postąpić? Jaka metoda byłaby najlepszą? W każdym razie nie uważała, żeby subtelność była z nim potrzebną. Jeżeli pudrowała twarz przy nim, mogła tak samo użyć kohlu do oczu, a więc i rozmawiać mogła z nim otwarcie. Co za odpoczynek dla niej! jaka radość!

— Jakim pan jest? — rzekła — chciałabym wiedzieć.

Poruszała zwolna wachlarzem.

— Pani może to wiedzieć lepiej odemnie, gdyż ciągle mnie widzi, a ja tylko wtedy, kiedy patrzę w lustro.

— Nie zewnętrznie, Barondi, wewnętrznie.

Mówiła do niego jakby do dziecka.

— Człowiek, który ukazuje kobiecie wszystko co jest w nim, nie jest mądrym człowiekiem.

— Lecz nieraz mądrzy ludzie to czynią, nie wiedząc o tem.

— Pani myśli o swych Anglikach — odrzekł bez widocznego sarkazmu.

Przypomniała sobie pierwsza z nim sam na sam rozmowę.

— Wasi Anglicy ukazują czem są. Nie starają się ukryć. Jeśli kto nie lubi tego czem są, tem gorzej dla niego, dostanie kopnięcie, a nie piastra. I względem kobiet są tacy sami nie! — to nie jest prawdą — zaprzeczył sam sobie: — Nie, względem mężczyzn są ludźmi gotowymi do kopnięcia, lecz względem kobiet, są młodymi chłopcami, kobieta bierze chłopca za ucho — ot tak — i prowadzi go, gdzie się jej podoba. Kobieta prowadzi Anglika, lecz my, nie jesteśmy tacy.

Patrzała na brunatną rękę, która trzymała ucho. Jak ten ruch wydał się jej nienaturalnym, a u niego był zupełnie właściwym. Z pewnością był zupełną sprzecznością ze wszystkiem, do czego była przyzwyczajoną. Odjął rękę od ucha.

— Jak długo był pan poza Egiptem — spytała.

— Nie długo. Trzy razy byłem w Neapolu, podczas gorącej pory roku. Mój ojciec posiadał willę na Posilippo. Z moim ojcem byłem w Vichy. Cztery razy jeździłem do Paryża; byłem w Konstantynopolu i podróżowałem po Syryi.

— Był pan w Palestynie?

— Jeruzalem? — nie, to dla koptów! Mówił z pogardą.

— Byłem naturalnie w Mecce — dodał z dumą i godnością.

„Prawdziwego mężczyznę — czy można go znaleźć w tej religii?" przyszło jej na myśl i znowu ona ze wszystkich kobiet — jakie to było dziwne — uczuła pociąg do jego wiary!

— Mecce — rzekła.

Ludzie przebywali pustynią, żeby dotrzeć do świętego miejsca. Nigel mówił jej coś o tej podróży, lecz to ją znudziło. Teraz patrzała na pielgrzyma, który szedł ze świętym Dywanem i nie czuła się znudzoną.

— Hanza, czy to pański sługa? — zapytała.

— To poganiacz osiłów z Luksoru.

— Tak. On nie bywał dawniej moim poganiaczem osła. Został nim... od wyjazdu mego męża. Mówią w Luksorze, że jest w istocie derwiszem.

— Dużo rzeczy mówią w Luksorze.

— Nazywają go modlącym się poganiaczem osłów. Czy on także był w Mecce?

Twarz jego lekko się zmieniła. Oczy się zwężyły, brwi trochę ściągnęły. Po krótkiej chwili rzekł.

Był w Mecce ze mną. Płaciłem za niego.

Nie wiedziała wiele o Mahometanach, lecz to co wiedziała, wystarczało jej, żeby być pewną, że Hanza nie łatwo zapomni o tem dobrodziejstwie. Barondi wybrał Hanzę na swego poganiacza osła. Miała wrażenie, że Islam położył na niej swe ręce.

— Hanza musi być panu bardzo wdzięczny — rzekła zwolna.

Barondi nie odpowiedział. Patrzała przez geranium w dół alei i zobaczyła pomiędzy drzewami łaciński żagiel płynący w stronę południa. Za chwilę ukazał się drugi, trzeci, czwarty. Czwarty był pomarańczowego koloru. Przez chwilę przeprowadzała je oczami pomiędzy liśćmi drzew pomarańczowych. Jak wiele łodzi płynęło na Południe.

— Wszystkie czółna płyną dziś na Południe — rzekła.

— Wiatr wieje z Północy — odrzekł prozaicznie.

— Chciałabym popłynąć w górę Nilu.

— W takim razie trzeba wziąć dehabijah.

— Jak Lonlia. Lecz jestem pewna, że niema drugiej Lonlii na Nilu.

— Czy pani by się podobało przebyć jakiś czas na Lonlii?

Skłoniła głowę.

Znowu ukazały się żagle, wyglądające jak skrzydła. Dziwne czynniki wrażenia widziane z daleka, bez ciał, do których były przytwierdzone, stawały się tajemnicze i Mrs. Armine czuła tę tajemniczość. Z Barondi'm miała wrażenie tajemniczości, romantyczności, rzeczy, których nie znała, lub z których żartowała przez długie lata swego życia. Czy odczuwała to, gdyż on to czuł? Nie mogła odpowiedzieć na to pytanie, dopóki nie będzie więcej o nim wiedziała.

— Może tak się stanie? Może pani będzie mieszkała na Lonlii! — rzekł.

— W jaki sposób i kiedy?

— Nieraz czynimy w naszem życiu rzeczy, o których sobie powiedzieliśmy, że ich nigdy nie uczynimy. I czynimy je właśnie wtedy, kiedy się nam wydają niemożliwe.

— Lecz pan czyni swe plany zawczasu.

— Czy tak?

— Tak. Czy pan uczynił plan co do Lonlii? Wiedziała, że uczynił, czuła, że, jak mucha w sieci pajęczej, ona była w jego planie ujęta.

— Znowu pomarańczowy żagiel! Czy kiedy popłynie na Lonlii w stronę południa?

— Czy pani nie zechce skosztować tej galarety z liści różanych?

Nie dotknąwszy się rękami ziemi, wstał i zbliżył się do stołu.

— Dobrze, proszę mi dać trochę, lecz tylko trochę.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Kronika tygodniowa

Pamiętamy zwykle i dobrze i długo przedewszystkiem o tem, co było albo bardzo miłe, albo też porządnie dało się nam we znaki.

I to właśnie powiedzieć można o roku ubiegłym i dlatego tak trudno przychodzi się nam z nim pożegnać. To tylko najgorsze, że tych, którym się dał we znaki, i to porządnie, jest ogromna większość, wspominających go zaś mile i nawet narzekających, że choć przestępny, był dla nich za krótki, stosunkowo bardzo mało. Do nich należą zaś wszelkiego rodzaju paskarze, lichwiarze i inni podobni spekulanci, którzy na wojnie porobili doskonałe interesy, robią je dalej i nie mieliby nic przeciw temu, gdyby się je udało przeciągnąć w nieskończoność. Mieli i oni, co prawda, swoje kłopoty także, bo i któż się bez nich obejść może, nie stały one przecież w żadnym stosunku do tych kolosalnych zysków, jakie były ich udziałem. Straszył ich wprawdzie Urząd walki z lichwą, bali się go, podobnie jak kamienicznicy „Ochrony lokatorów", lub dzieci kominiarza, ale wnet się przekonali, że nie taki straszny dyabeł, jak go malują. Urząd walki z lichwą łowił tylko drobne rybki, potężne paskarskie szczupaki grasowały też bezkarnie, zarobki ich szły w miliony, a ogół, dzięki im, głodował i ziąbł, pocieszając się nadzieją, że następny rok będzie lepszy, byle dociągnąć do przednowka, a przednowek jakoś przetrzymać.

Niestety, złotych nadziei, że się to uda, jakoś roić nie można, gdyż już początek 1921 zapowiada się bardzo nieświetnie, co każe wnosić, że dalszy ciąg będzie jeszcze gorszy. Paryska wróżka, pani de Thèmes, następczyni słynnej de Thèbes, ogłosiła już swoje przepowiednie, zapowiadając tylko rewolucye w całym świecie i kłopoty finansowe, ale, aby w ten sposób prorokować, nie trzeba być jasnowidzącym.

Pisząc wprawdzie kronikę o przebiegu świąt Bożego Narodzenia, byłby autor jej sam niejedną łzę nad garbatym losem uronił, pamiętał jednak na ostrzeżenie Weroniki, że chustka do nosa, a zatem i do ocierania łez, które po nim spływają, ma mu wystarczyć na cały tydzień, gdyż pranie jest obecnie bardzo drogie. Posłuszny rozkazowi nie płakał zatem, choć mu się na płacz zbierało, nie wątpi przecież, że opis ten po latach niejednemu z ócz łzę wyciśnie. Potomkowie nasi będą podziwiać siłę i hart naszego ducha, że zdołaliśmy to wszystko przetrzymać. Lat kilka wstecz, wertując pamiętniki z czasów oblężenia Paryża przez Prusaków, ubolewaliśmy nad losem mieszkańców nadsekwańskiej stolicy, którzy musieli się żywić nawet szczurami, a za gęś płacić sto dwadzieścia pięć franków, tymczasem przekonaliśmy się, że i bez oblężenia można wogóle nie mieć nic do jedzenia, a za gęś płacić nawet i do tysiąca marek.

A kto temu winien?... W pierwszym rzędzie czynniki decydujące, więc rząd, który nie postara się o to, aby złe usunąć, w drugim zaś sama publiczność, która płaci każdą żądaną cenę, byle tylko nic nie brakło. Ale pod tem słowem „publiczność" nie należy rozumieć ogółu, lecz owe paskarsko-lichwiarskie wyjątki, nie odmawiające sobie niczego i podbijające ceny. Kto ciekawy może się o tem codziennie przekonać na targu, gdzie się odbywa formalna licytacya o każdy kawałek masła, każde jajo. Paskarze mają na to, więc wszystko przepłacają, odbija się to na reszcie, a trudno chyba wymagać takiego ogromu samozaparcia się u sprzedającego, aby coś odstąpił Iksowi na cenę możliwie przystępną, gdy Ypsylon daje mu dwa razy tyle.

Gdy Kraków był w prawach aprowizacyjnych zależny od Rady małopolskiej, było źle, pocieszano nas przecież, że się to poprawi, skoro tylko zostaniemy oddani wprost pod opiekuńcze skrzydła Ministerstwa i otrzymamy osobnego komisarza żywnościowego. Dotąd wiedzieliśmy z przysłowia, że „słowo pańskie nie grzeje", obecnie przekonujemy się, że ono także i nie syci. Na obiecaną poprawę stosunków nie możemy się doczekać, a ceny idą tak w górę, że n. p. bułka, która jeszcze w ubiegłym tygodniu kosztowała cztery marki, dziś nóg nie mając, podskoczyła na ośm, a co następny tydzień przyniesie, nie wiadomo.

Mąki zatem nie brak, skoro znajduje się na wypiek bułek i różnego rodzaju bałabuchów, jakich całe sterty widzimy w kramach Sukiennic, nie brak i cukru, skoro jest go dość na wyrób cukierków, sprzedawanych po bajońskich wprost cenach, ale ani jednej, ani drugiego znaleźć nie mogą lub nie chcą te czynniki, które z aprowizacyą pozostają w najbliższym związku. Niedawno czytaliśmy, że gdzieś tam spaliła się pokątna fabryka cukierków, której „cichym" współwłaścicielem był miejscowy pan starosta.

Bardzo wymowną ilustracyą tych stosunków jest wywiad, jaki kronikarz miał niedawno z pewnym kupcem. Na zapytanie, jak idą interesy, odpowiedział tenże, że pod psem i że nosi się z myślą zamknięcia lokalu w którym nie ma co sprzedawać. To jest, o tyle niema, o ile się chce zakupić je uczciwą drogą, nie u paskarzy i sprzedać z uczciwym zyskiem, nie narażając się na karę za lichwę. Jako przykład podał fakt następujący:

Pewna instytucya, zajmująca się zaopatrywaniem ludności w to wszystko, co do życia ma być rzekomo niezbędne, sprowadziła do Krakowa większą ilość sardynek. Dowiedziawszy się o tem, zgłosił się w dyrekcyi, prosząc o odstąpienie mu pewnego *quantum* i obowiązując się sprzedawać je po cenie przez instytucyę oznaczonej, z doliczeniem uczciwego kupieckiego zysku. Odpowiedziano mu, że nic z tego, sardynki są tylko dla konsumów, w handlu zaś poszłyby zaraz w pasek. Naopowiadano mu poza tem dużo ładnych rzeczy, jak to instytucya ta stara się, aby ludności niczego nie brakło i aby nie padła ofiarą wyzysku, w rezultacie odprawiono go z kwitkiem.

Jakież jednak było jego zdziwienie, gdy w kilka dni później zgłosił się doń pewien jegomość (z zawodu piernikarz lub coś podobnego, w każdym razie z sardynkami nic wspólnego nie mający...) i zaproponował kupno dwu skrzyń sardynek... Cena ich wprawdzie była już o sto procent wyższa, niż w owej instytucyi, w każdym razie stosunkowo jeszcze dość znośna. Kupił zatem i wystawił na sprzedaż, doliczając, jako uczciwy kupiecki zysk, dwadzieścia procent.

Ale oto w parę dni zjawia się znów inny pan, tym razem z Urzędu walki z lichwą i robi kwestyę, że cena zbyt wygórowana, czego rezultatem skazanie kupca, choć wskazał na źródło, gdzie je nabył, na pięćset marek grzywny.

I proszę mi teraz powiedzieć, czy publiczność „jedząca" nie byłaby na tem lepiej wyszła, gdyby owa instytucya sprzedała była owe sardynki wprost owemu kupcowi, a ten odstępował je konsumentom po doliczeniu sobie dwadzieścia procent zysku, niż oddając je jakiemuś konsumowi, skąd za pośrednictwem owego piernikarza paskarza dostały się dopiero do kupca i naraziły go na kłopoty?... Konsum oddał sardynki piernikarzowi z doliczeniem kosztów administracyjnych (tytuł bardzo ładny...), piernikarz nie zapomniał o zysku dla siebie i to wcale „uczciwym", zapłacił to zaś wszystko ostatni odbiorca, którego owa instytucya, z której sardynki wyszły, ma bronić przed wyzyskiem, a przynajmniej się chwali, że to czyni.

Sardynki nie są nikomu niezbędnie potrzebne do życia, bez nich można być zbawionym, ale zupełnie w ten sposób dzieje się z artykułami naprawdę „pierwszej potrzeby", jak mąka, tłuszcze, cukier i t. d. I oto powód, dlaczego ich u nas stale brak, a złośliwi twierdzą, że leży to w interesie różnych „panów od Centrali", aby najważniejszych i najniezbędniejszych artykułów stale brakło, aby zatem ceny ich rosły, rosną bowiem równocześnie i ich „boczne zarobki", ten i ów jest bowiem „cichym" członkiem paska, podobnie jak ów pan starosta był „cichym" współwłaścicielem fabryki cukierków.

W tych warunkach walka z lichwą żywnościową jest walką z wiatrakami, a jeśli dodamy do tego że władze centralne, zajmujące się aprowizacyą, do zadania swego absolutnie nie dorosły, mamy całokształt warunków w jakich spędziliśmy rok 1920. a rozpoczynamy 1921. pod jeszcze gorszą wróżbą.

To opłakane warunki dają się przedewszystkiem odczuć inteligencyi, stanowiącej dziś proletaryat w najściślejszem tego słowa znaczeniu, nie marzący teraz o jakiejś dyktaturze, ale jedynie o tem, aby mieć co zjeść, w co się ubrać, gdzie się przespać. A tu jak na złość, jeśli się chce, bodaj od czasu do czasu zadowolić żołądek, upominający się o swoje prawa, nie zostanie nic na ubranie i zapłacenie czynszu. A nie należy także i o tem zapominać, że tak, jak nie samym tylko chlebem żyje człowiek, tak też sama praca nie wystarcza mu do szczęścia, ale potrzebna mu jest jakaś rozrywka. Z której musi jednak zrezygnować, dzięki paskarzom lichwiarzom lub innym podobnym „dobrodziejom ludzkości".

Zdarzyło się niedawno kronikarzowi, że musiał się znaleźć w pewnej restauracyi, gdzie za małą szklankę piwa i bułeczkę z kawałeczkiem pasztetu, zapłacił... pięćdziesiąt ośm marek!... Dawniej kosztowało to piętnaście centów, dziś na podobny wydatek nadzwyczajny można sobie pozwolić najwyżej raz na miesiąc.

Nie przeszkadza to, że restauracye i kawiarnie i tak są pełne, a nawet w przedwojennym czasie nie miało się w karnawale tyle sposobności do zabawy, co obecnie. Niedawno spotkał kronikarz pewnego złotego młodzieńca, który narzekał na *przeciążenie* pracą. Jest członkiem dwudziestu siedmiu komitetów, urządzających zabawy publiczne, naturalnie na cel dobroczynny, nie licząc prywatnych, do których urządzania bywa powołany, jako fachowiec. Ośmiogodzinny czas pracy i ustawowy spoczynek niedzielny dla niego nie istnieją.

Ale bawią się nie wszyscy, tylko „wybrani", najmniej zaś ci, którzy sobie na tę rozrywkę swą pracą zasłużyli. Bo i za cóż się bawić, gdy w kieszeni pustki, a żołądek mruczy z głodu...

Podwyższono im, co prawda, wynagrodzenie, ale ta podwyżka nie stoi w żadnym stosunku z szalejącą coraz bardziej drożyzną. Praca umysłowa jest dziś niedocenianą, a nawet wprost lekceważoną, gdy natomiast fizyczna ma jakoś więcej szczęścia. Proletaryuszowi inteligentnemu rzuca się od czasu do czasu jakiś ochłap, jak gdyby się mu chciało dać do zrozumienia:

— Bądź kontent, że masz tyle i siedź cicho, a jeśli ci się nie podoba, idź sobie, znajdzie się inny!...

Ludzie, żyjący z stałych dochodów, więc i z miesięcznej płacy, są zatem pożałowania godni. Każdy inny jakoś sobie poradzi, oni jedyny ratunek mogą znaleźć chyba... w pasku i dlatego się doń biorą.

Kupcy, przemysłowcy i t. p. w miarę wzmagania się drożyzny, podnoszą ceny i odbijają sobie nawet z nawiązką wzmożone wydatki, jedynie proletaryusz inteligencyi musi czekać, aż sobie kto o nim przypomni i „kapnie mu coś z łaski"..., ta zaś, jak powiada przysłowie, jeździ na pstrym koniu, a te są bardzo rzadkie. W tych warunkach pracujący umysłowo schodzi i to bynajmniej nie powoli na psy, pracujący zaś fizycznie nabierają sił i ochoty do życia, które im się coraz bardziej uśmiecha. Komuniści zapowiadają dyktaturę proletaryatu (w której wykonaniu zastąpią łaskawie proletaryat pp. Bornstein, Silberzweig, Nachamkes *et tutti quanti*...), obecne stosunki są do niej dopiero przygotowaniem. Proletaryat objął już *de facto* dyktaturę, dyktuje światu swoją wolę i przyczynia się... do zwiększenia drożyzny i ogólnego zastoju na każdym kroku.

Jaka jest różnica między obecnem życiem pracującego umysłowo, a fizycznie, miał kronikarz przekonać się sposobność przed kilku dniami, gdy Weronikę odwiedziła, według zwyczaju, dawna służąca, Frania, obecnie pani majstrowa, małżonka mistrza szlachetnego kunsztu szewskiego...

Przed laty, gdy nam się o wojnie ani śniło, pełniła Frania przy kronikarskiem ognisku domowem funkcye kuchennej Westalki (było wtedy czem palić w piecu...) i zdarzyło się, że wpadła w serce pewnemu czeladnikowi szewskiemu, który też wkrótce poprowadził ją do ołtarza. Początkowo nie miała ochoty łączyć się dozgonnie ze szewcem, dziś tego bynajmniej nie żałuje. Corocznie w okresie Nowego Roku odwiedza swą dawną panią, aby jej powinszować i podziękować zarazem, iż z jej domu przeszła pod swój własny dach, gdzie znalazła szczęście.

Do uszu kronikarza doszedł następujący urywek rozmowy, prowadzonej w kuchni:

— I jak ci się też powodzi moja Franiu — pytała ją Weronika.

— Nie najgorzej, proszę pani — odpowiedziała zagadnięta — ale czasy stają się coraz cięższe i trudno już wytrzymać... Nie wystarcza mi pięćset marek dziennie.

W tem miejscu westchnął kronikarz, westchnęła i Weronika, a Frania mówiła dalej:

— Mojemu staremu było czem nie dogodzi!... Codziennie musi mieć do kawy rano dwie bułki, a broń Boże, gdyby masła do nich nie było... Wywróciłby dom do góry nogami... Na obiad mięso, po południu do kawy strucla lub babka... Kolacyę je w mieście... A w poniedziałek, to taki zawsze grymaśny, że nie można sobie dać z nim rady...

Słysząc ten „porządek dzienny" szewskiego żywota westchnął kronikarz raz jeszcze i powiedział do siebie:

— Mój Boże!... Dlaczego mnie szewcem nie stworzyłeś?...

A w kuchni uleciało ku powale drugie takie westchnienie, a Weronika pomyślała sobie z pewnością:

— I nie lepiej to było wyjść za mąż za szewca, niż za jakiegoś gryzipiórę?.. Myślałam, że robię los, tymczasem dziś się przekonuję, że się pomyliłam... Ale któż mógł wtedy przypuścić choćby, że się świat tak odmieni?...

Jeżeli Weronika w samej rzeczy tak myślała, to miała zupełną racyę... I kronikarz zazdrości dziś tym ze swych kolegów, których z powodu złego postępu w nauce, już z pierwszej klasy gimnazyalnej oddali rodzice do praktycznego zawodu... Ci dziś i bez oficyalnie ogłoszonej dyktatury proletaryatu są panami świata, oni nim rządzą, a my proletaryat inteligencyi, zdani jesteśmy na ich łaskę i niełaskę.

Smutne to wszystko, ale, niestety, prawdziwe... Czy będzie lepiej, i kiedy, tego nawet paryska wróżka nie przepowiada...

Nad mogiłą powstańca.

Pięćdziesiąt ośm lat mija od chwili, gdy trąbka bojowa zawezwała ojców naszych pod sztandary narodowe, do walki z ciemięzcami, którzy zaprzysięgli zagładę wszystkiemu, co tylko polski nosiło na sobie charakter.

I stanęli posłuszni do rozpaczliwej walki, tem rozpaczliwszej, że mieli przeciw sobie nie tylko trzech zaborców, ale i część własnego społeczeństwa. Wysiłki ich były bezowocne, szlachetny poryw zatopiono w potokach krwi, rozpoczęły się jeszcze sroższe represye, zaludniły się śnieżyste stepy sybirskie i lochy Spilbergu i Kufsteinu.

Ale ci, którzy z bronią w ręku stanęli w obronie wolności, nie upadli na duchu.

Pracowali oni dalej, wychowując młode pokolenie na pożytek Ojczyzny i wierząc, że chwila Odrodzenia nadejdzie. Szeregi ich rzedły z dnia na dzień, ta niewielka garstka, której dane było patrzeć własnemi, przygasającemi już ze starości oczyma na brzask jutrzenki Wyzwolenia, schodzi z tego świata z błogosławieństwem na ustach dla młodego pokolenia, którego wysiłek dozwolił im złożyć na wieczny spoczynek swe kości w wolnej, zjednoczonej Polsce...

Do ich rzędu należy zmarły w ubiegłym tygodniu w Krakowie major wojsk polskich ś. p. Karol Rola Różycki, ozdobiony krzyżem „Virtuti militari": wiceprezes Przytuliska weteranów z roku 1863/4. Przeżył ośmdziesiąt jeden lat ciężkiego żywota, w samej rzeczy „Bogu na chwałę, Ojczyźnie na pożytek", pozostawiając po sobie ogólny żal i serdeczną pamięć.

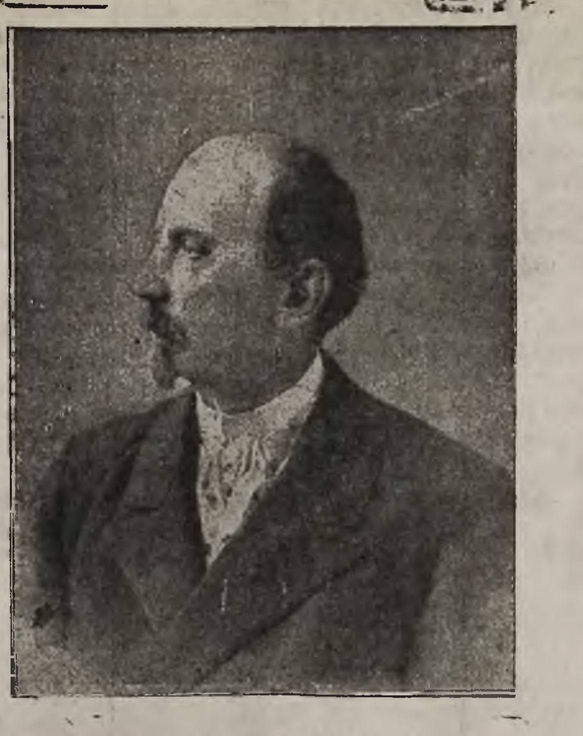
Młody austryacki oficer, wstępuje z chwilą wybuchu ruchu narodowego w r. 1863 w szeregi powstańcze, stanowiąc w nich dla swych zdolności fachowych bardzo pożądany nabytek. Walczy przeważnie w oddziale Kurowskiego, aż do dni ostatnich, po smutnym wyniku czeka go los tylu innych, więźnia stanu.

Po uwolnieniu otrzymuje skromną posadę urzędnika kancelaryjnego przy sądzie i dzięki niezmordowanej pracy i gorliwości doprowadza do stanowiska dyrektora kancelaryi Sądu apelacyjnego, skąd przechodzi wreszcie w zupełnie zasłużony stan spoczynku.

Zawodowa praca i wychowanie dzieci nie przeszkodziły mu w dalszej pracy społecznej, zwłaszcza byłym towarzyszom broni spieszył zawsze chętnie z pomocą lub poradą.

Cicha jego praca spotkała się z uznaniem władz przełożonych, zalety serca i charakteru jednały mu sympatyę wśród kolegów i znajomych, czczących w nim przedstawiciela schodzącego już z tego świata pokolenia.

Pogrzeb ś. p. majora Karola Rola Różyckiego odbył się we czwartek o godz. 3 po południu z domu żałoby przy ul. Podzamcze 14. Kondukt pogrzebowy prowadził kapelan załogi major ks. Tartyło. Na czele orszaku postępowała kompania honorowa 20 pp., dalej muzyka pułku kolejowego, weterani z 1863 r. ze sztandarem. Za trumną szła rodzina zmarłego, jen. Stiller, Piasecki, delegacye oficerskie, oraz delegacye krakowskich formacyi.



Nad mogiłą powstańca: S. p. major wojsk polskich Karol Rola Różycki em. dyrektor kanc. Sądu apel., wiceprezes Przytuliska uczestników powstania z r. 1863/4.

Poszanowanie tradycyi
u Japończyków.

Święta, które przesunęły się w Tokio przez trzy pierwsze dni listopada, nie mają nic równego sobie w naszych wschodnich zwyczajach. Podług wielowiekowej tradycyi dwór cesarski w ósmym roku po śmierci cesarza, zabiera się „do umieszczenia jego zwłok w relikwiarzu". Należy przez to rozumieć, że wysocy dygnitarze *shin-tô*, która jest religią narodową, poświęcają uroczyście jego pamięci świątynię, gdzie tłumy wierzących przyjdą czcić jego ducha. Śmiertelne jego szczątki były złożone przez ośm lat w swojem ostatecznem schronieniu. Jedynie tylko szczątki niemateryalne emigrują do tej kaplicy, aby stać się tam przedmiotem czci należnej jego boskiej naturze.

Wypada przypomnieć tutaj, że dynastya japońska panuje blisko od dwudziestu siedmiu wieków i że podług nauki *shin-tô* bezpośrednimi jej przodkami są bogowie, zaludniający Olimp shintoiski. Ta religia krajowa nie mogła oprzeć się wkroczeniu budaizmu, religii obcej w inny sposób, jak tylko zamykając się w ramach „kultu przodków cesarskich". W zasadzie każdy *Tennô* (cesarz) jest zatem czczony po śmierci, jak półbóg, albo, jeśli chcemy być dokładniejsi, jako potomek prosty bogów. Do tej czci legendarnego pochodzenia przybywa dziś druga, ugruntowana na uroku i osobistej sławie zmarłego monarchy, cesarza Moutsouhito, ojca nowoczesnego Japończyka.

Zbudowana na wzgórzu Yoyogi, oddalonem od przedmieść Tokio cztery do pięciu kilometrów, świątynia cesarza Moutsouhito została połączona ze stolicą przez szeroką drogę, okoloną ozdobnemi palisadami. Bramy tryumfalne przerywają jednostajność drogi.

Procesya zdążała ku wierzchołkowi pagórka. Przed oczyma niezliczonych tłumów przesunęli się prowadzeni przez przełożonego ministra, p. Hara, członkowie gabinetu we wspaniałych nowoczesnych uniformach, potem przedstawiciele najwyższej arystokracyi, dygnitarze pałacowi, wielcy szefowie klanów, wszyscy ubrani podług mody starego rządu, książęta krwi, przybrani w uniformy generałów, lub admirałów



Poszanowanie tradycyi u Japończyków: Uczestnicy ostatniej biesiady ku uczczeniu pamięci zmarłego cesarza niosą w serwetach resztki potraw, zabrane na pamiątkę według miejscowego zwyczaju.



Poszanowanie tradycyi u Japończyków: Na progu świątyni cesarza Moutsouhito. Pierwszy minister Hara i jego koledzy, powitani przed kruchtą przez księcia Ichijo i jego koadjutora w strojach kapłańskich.

księża shintoiści, przenoszący na noszach wielkie kufry, zawierające osobiste przedmioty dostojnego zmarłego. Jejmość królowa Yoshihitô, którą choroba zatrzymała w pałacu, zastępował książę dziedziczny, Hirohito, wieziony w karecie galowej.

Stróż naczelny świątyni, książę Ichijo, w stroju kapłańskim, trzymając przed sobą *chaku*, małą, drewnianą tabliczkę, którą każda z wyższych osób przypuszczona przed obecność cesarza, powinna trzymać prostopadle na wysokości pasa, robił honory świątyni. Szlachcice podobnież w stroju kapłańskim pomagali mu osobiście. Przedmioty cesarza przeniesione zostały uroczyście do wnętrza świątyni, gdzie odbyła się ceremonia religijna. Kapłanki shintoickie, przybrane w suknie powłóczyste, trzymając na piersiach *hiogi*, wachlarz zrobiony z cienkich blaszek, wyciętych z drzewa *honoki*, drzewa poświęconego, wykonały taniec religijny w samem wnętrzu świątyni, przed relikwiami cesarskiemi. W końcu agapy zgromadziły wszystkich obecnych w budynku specyalnie wystawionym. Potem, jak nakazuje starożytna i wzruszająca tradycya, uczestniczący przyjęli kufereczek, owinięty białą jedwabną szarfą, zawierający na intencyę ich rodzin szczątki biesiady. rozmaite mięsiwa, jarzyny, ciastka ryżowe, cukierki, ułożone na małych półmiskach porcelanowych, ozdobionych emblematem cesarskim, kwiatem chryzantemy. Dołączono do tych łakoci

świętych serwetkę jedwabną i parę kijków, zaciosanych na obydwóch końcach, jako pamiątki mniej znikome niezapomnianego święta.

Obraz dziwny, dysharmonijny, oszałamiający, ta defilada wysokich osób w uniformach galowych



Poszanowanie tradycyi u Japończyków: Kapłanka shintoiska w otoczeniu dostojników kościelnych podąża do świątyni w celu dokonania ceremonii świętego tańca.

i w ubraniach ceremonialnych, powracających do domu unosząc w ramionach swój mały pakiecik wiktuałów. Ale poznawszy cel, zwyczaj wydaje się słusznym. I nagle robimy odkrycie, że Japonia stawszy się wielką potęgą nowożytną, zachowała w niejednem Japonię starego sztychu, czego można jej powinszować.

Podwójny mord rabunkowy
w Krakowie.

Rozpoczynając niniejszy numer od opisu tragicznej śmierci kochanków, nie przypuszczaliśmy, że jeszcze w tym tygodniu przyjdzie nam się zająć drugim, nieco podobnym, ale daleko ohydniejszym wypadkiem, świadczącym bardzo ujemnie o stosunkach bezpieczeństwa, panujących w Krakowie, a zarazem także i o coraz widoczniejszym moralnym upadku rodzaju ludzkiego.

Jest nim podwójne morderstwo rabunkowe, dokonane na małżonkach Zahnach właścicielach sklepu jubilersko zegarmistrzowskiego przy ul. Floryańskiej l. 31, więc w samem centrum miasta, przy najbardziej ożywionej ulicy, prawie w biały dzień.

We wtorek, dnia 11 stycznia b. r. wieczór córka Zahnów, zaniepokojona długiem niepojawianiem się rodziców, udała się z mieszkania, położonego w odległej dzielnicy, do sklepu, przy ul. Floryańskiej, aby zbadać przyczynę.



Tragiczna śmierć dwojga kochanków: Ferdynand Laska, morderca Chwałkówny.

Gdy ze sieni przez otwarte drzwi weszła do sklepu i zapaliła światło, oczom jej przedstawił się grozą przejmujący widok. Na ziemi, nieopodal wejścia leżał trup matki w kałuży krwi, za ladą sklepową spostrzegła ojca w pozycyi siedzącej, zbroczonego krwią, ale dającego jeszcze znaki życia. Kasa ogniotrwała, stojąca otworem, rozbite szyby gabilotek, porozrzucane w nieładzie zegarki i kosztowności mówiły wyraźnie o tem, co tu przed niedawnym czasem zajść musiało.

Na jej rozpaczliwy krzyk zbiegli się domownicy i przechodnie, powstało rychło zbiegowisko, komentujące żywo zaszły wypadek, nie znalazł się przecież nikt, kto zawiadomiłby o tem policyę i pogotowie ratunkowe, co zresztą połączone było z pewnemi trudnościami z powodu strajku pocztowego, który unieruchomił w dniu tym telefony.

Napad bandycki musiał mieć miejsce bezpośrednio po godzinie szóstej, gdy Zahn sklep zamykał, córka przybyła około ósmej, policyę zawiadomiono

Wskazówki to zbyt niewystarczające, aby na ich podstawie można było wdrożyć energiczne dochodzenia i pościg za bandytami. Pies policyjny Aida, zaprowadziła organa śledcze na ulicę Czarnowiejską l. 3, gdzie rzuciła się na syna stróżki Knerowiczowej, którego też aresztowano, ponieważ nie mógł wykazać gdzie spędził czas do godziny dziesiątej wieczorem t. j. do chwili powrotu do domu.

Również aresztowano na Podgórzu jakieś podejrzane indywiduum, przy którem znaleziono większą kwotę pieniężną, między innymi banknot 5.000 markowy, jaki krytycznego dnia, według oświadczenia pomocnika Zahna Fischlowitza, miał jego pryncypał w kasie posiadać. Na pieniądzach znajdują się podobno ślady krwi.

Policya rozwija gorączkową działalność, aby sprawców ohydnego mordu i rabunku oddać w ręce karzącej sprawiedliwości. Istnieje przekonanie, że byli nimi jacyś obcy bandyci. Stan zdrowia Zah



Podwójny mord rabunkowy w Krakowie: Dom przy ulicy Floryańskiej l. 31 w którym mieści się sklep Saula Zahna.

dopiero po dziewiątej.. Lekarz pogotowia stwierdził śmierć Zahnowej, spowodowaną uderzeniem jakimś twardym przedmiotem w głowę i twarz, głębokie rany, połączone z załamaniem czaszki, skonstatowano również na głowie Zahna, którego, jako dającego jeszcze słabe oznaki życia, przewieziono na tychmiast na oddział chirurgiczny św. Łazarza.

Śledztwo wstępne, wdrożone natychmiast przez policyę, napotkało zatem na ogromne trudności. Bliższych szczegółów, mogących rzucić jakieś światło na tę zagadkową sprawę nie mógł nikt podać, sprawca lub sprawcy, przypuszczalnie było ich bowiem kilku, nie pozostawili żadnych po sobie śladów, prócz ofiar napadu i nieładu, spowodowanego rabunkiem. Ostatnio widziano Zahna, zamykającego okiennicę sklepową od ulicy (wejście do sklepu było tylko z dość ciemnej sieni), pozatem zwróciło na się uwagę sąsiadów dwu osobników w mundurach wojskowych, którzy w towarzystwie jakiejś kobiety byli ostatnimi gośćmi w sklepie przed zamknięciem.

na, pomimo natychmiast przeprowadzonej operacyi, jest stale beznadziejny.

Przed domem, w którym dokonano mordu i rabunku, gromadzą się tłumy publiczności, omawiające żywo ten sensacyjny wypadek.



Od Wydawnictwa!

ROK 1920., będący XVII. rokiem naszego wydawnictwa, zamykamy z tem wewnętrznem przekonaniem, że należycie wywiązaliśmy się, w miarę możności i panujących obecnie stosunków, z ciążącego na nas zadania. A tem było, jest i będzie i w dalszym ciągu informowanie P. T. Czytelników o najaktualniejszych zdarzeniach, z szczególniejszem uwzględnieniem naszego życia narodowego, dawania lektury zdrowej i pożytecznej.

Że nam się to powiodło, świadczą o tem liczne pisma z uznaniem, jakie stale otrzymujemy. Nie brak wprawdzie i narzekań na różne braki, które i my sami uznajemy i staramy się je o ile możności usunąć, ci jednak, którzy z podobnymi zarzutami występują, widocznie nie zdają sobie z tego sprawy, że pracować nam przychodzi w warunkach zupełnie innych, niż były przedwojenne.

Rok 1920. zawiódł najzupełniej wszelkie nadzieje i oczekiwania. Stosunki nie tylko nie poprawiły się, owszem w ostatnich zwłaszcza czasach tak się pogorszyły, że kraj zdaje się stać nad brzegiem przepaści, od runięcia w którą chyba cud może go uratować. Ta sytuacya odbić się musiała zatem na całem życiu społecznem, więc i prasie w ogólności, w szczególności zaś na tak kosztownem wydawnictwie, jakiem są *Nowości illustrowane*.

Drożyzna najniezbędniejszych artykułów, z których niektóre podskoczyły w cenie nawet i *pięćsetkrotnie*, podwyższenie płac personalu Redakcyi, Administracyi i Zakładów technicznych, zwiększenie opłat kolejowych i pocztowych i t. d. zmusiły nas do podniesienia ceny prenumeraty, czyniliśmy to przecież bardzo oględnie, o tyle tylko, aby pokryć najkonieczniejsze wydatki i nie dopuścić do deficytu.

Przytem odpadła nam bardzo ważna i pokaźna rubryka dochodów: dział inseratowy. Nasi Kupcy i Przemysłowcy wychodzą z założenia, jedni, że nie mają co reklamować, gdyż towaru im brakuje, drudzy, którzy mają go dość na składzie, że się bez tego obejdzie, gdyż Publiczność prosi się, aby jej coś sprzedać.

Praca wydawnicza w tych warunkach, to zadanie bardzo ciężkie, nie opuszczamy przecież rąk i z otuchą w lepszą przyszłość stajemy do dalszej pracy, pewni, że ogół polskiego społeczeństwa nie odmówi nam swego poparcia, jako **jedynej w Polsce aktualnej ilustracyi**, o piętnie wybitnie narodowem. Pracujemy dla dobra społeczeństwa polskiego, nie dla robienia interesu, nie służymy żadnym partyom, mamy też prawo poparcia tego się spodziewać. Rozszerzanie *Nowości illustrowanych* w kołach swych Znajomych, to obowiązek każdego Polaka, któremu dobro polskiej prasy leży na sercu.

My ze swej strony dołożymy wszelkich starań, aby pomimo nadzwyczaj trudnych warunków, *Nowości Illustrowane* mogły stanowić dla Czytelników i nadal pożyteczną i przyjemną rozrywkę. Siódmy rok wojny się kończy. Po siedmiu „chudych" latach nadejdą może „tłuściejsze", stosunki się poprawią, a wydawnictwo będzie mieć ułatwione zadanie. Nadzieja lepszej przyszłości dodaje nam otuchy i siły, wyrozumiałość Czytelników dokona reszty. Da Bóg, w niedługim już może czasie wrócą *Nowości Illustrowane* do pierwotnych rozmiarów, poprawi się też i strona techniczna pisma, cierpiąca dziś wiele z powodu fatalnej jakości nabywanych za wprost bajońskie ceny materyałów. W tece redakcyjnej posiadamy kilka bardzo ciekawych powieści, które niewątpliwie zainteresują ogół Czytelników tak żywo, jak obecnie drukowane. Dołożymy też starań, aby dobór materyału aktualnego odpowiadał zawsze jak najdalej posuniętym wymaganiom.

Z otuchą zatem i wiarą w lepszą przyszłość zaczynamy XVIII. rok naszego istnienia.



Podwójny mord rabunkowy w Krakowie: Zwłoki Zahnowej na miejscu dokonanego mordu
(Zdjęcie fotografa Okręgowego Urzędu śledczego Pol. państw.).

Rozwiązanie zagadek z Nru 1.

Trójkąt magiczny: Nowy Rok, Olesko, Warta, yard, rad, oś, k.

Grzebieniówka: Soła, y, Lena, w Ezaw, s, toga, o, rota.

Zadanie do uzupełnienia: Doba, opal, Soda, Igor, Ezop, gaza, ogar, rota oset, Kama, uran.

Rebus: Gdy w Gromnicę z dachu ciecze, zima pewnie się przewlecze.

Zagadka literacka: P top. Anhelli, Na przełęczy, Treny, Asan, Dziady, Emancypantki, Uskoki, Sielanki, Zemsta.

Zadanie na rozsypane litery: Spiesz się powoli.

Zgłoskówka: Narodzenie Zbawiciela.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: J. Jaworski Lwów, M. Sochacka Kraków, J. Bielawski Rzeszów, M. Kozłowski Sambor, S. Zakrzewski Sandomierz, S. Grabowski Wadowice, M. Woźniakowski Warszawa, W. Lange Toruń, J. Kalinowski Poznań, K. Dębicki Sambor, S. Lipski Wiedeń, M. Mańkowska Warszawa, S. Wacławik Łódź, S. Balicki Radom, W. Raczyński Kraków, K. Borkowski Kraków, W. Śmieszek Lublin, M. Ostrowska Lwów, K. Zieliński Zalesie, K. Grabski Jasło, J. Martynowicz Kielce, J. Jagodziński Nowy Sącz, J. Walicki Poznań, R. Cielicka Łódź, J. Polek Lwów, S. Nowacki Lwów, K. Nowak Sambor, Z. Walkowski Rawa, M. Wysocka Jasło M. Ogibińska Nowy Sącz, A. Dębiński Jasło, H. Zamocka Stanisławów, W. Witowska Warszawa, J. Nowak Sandomierz, M. Waszkiewicz Lwów, K. Radziszewski Warszawa, H. Waligórski Tarnów, M. Kwiatkowska Warszawa, H. Maciejowski S. Lesicki Warszawa, M. Jasińska Lwów, M. Gross Tarnów Winnica, H. Malinowska Rzeczyce, W. Dutkiewicz Przemyśl, J. Martynowicz Lwów, H Galińska Tarnów, M. Bodziński Kraków, M. Wacyk Lwów, M. Więckowski Warszawa, E. Darowska Warszawa, J. Orzechowski Stryj, J. Wierzbicki Piotrków, K. Grzybowski Kraków S. Zajączkowski Rzeszów. J. Jabłoński Lublin, J. Weber Kraków, S Sygowska Rzeszów, B. Siewarga Bochnia, J. Wierzyński Zakopane.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) J. Bielawski Rzeszów (książka), 2) M. Więckowski Warszawa (papier listowy). Upraszamy o nadesłanie należytości na koszta poleconej przesyłki nagrody.

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania wszystkich zagadek.

Zagadki do nagrody.

Okienko.

Ułożył R. G., Warszawa.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym:

```
a a a a a
a   a   a
a g g k k
k   k   k
ł ł w w w
```

Znaczenie wyrazów: 1. Rzeka pamiętna bitwą z Tatarami w 1224 r., 2. Sprzęt domowy, 3. Roślina egzotyczna.

Zadanie do uzupełnienia.

Ułożył Astronom, Kraków.

Przez dodanie odpowiednich spółgłosek utworzyć znane określenie co do długości dnia w tym czasie:

-a-o-y-o----y-y-a--ia-a-a-ę--y--o-

REBUS.



Grzebieniówka.

Ułożył J. Balicki, Warszawa.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w szeregach pionowych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd poziomy poda nazwisko gościa, który niedawno odwiedził Kraków:

```
■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
—   —   —   —   —   —   —
—   —   —   —   —   —   —
—   —   —   —   —   —   —
—   —   —   —   —   —   —
```

Znaczenie wyrazów: 1. Drzewo owocowe, 2. Jezioro w Europie wschodniej, 3. Rzeka we Włoszech, 4. Imię męskie, 5. Półwysep w Europie wschodniej, 6. Imię żeńskie, 7. Miasto w Galicyi śr.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył H. B., Wieliczka.

Z podanych liter ułożyć tytuły dwu powieści T. T. Jeża: A kusi Sanok.

Zadanie na rozsypane litery.

Ułożył Głodomór z Krakowa.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

a, b, c, d, e, e, g, h, i, l, l, ł, m, n, n, n, o, ś, u, y.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1) Kalendarz familijny na r. 1921; 2) Paczkę papieru listowego (25 arkuszy i tyleż kopert).

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Karczmarskiego.